№ 12.

Bióro Redakcji przy ulicy Solnej Nr. 715, w Warszawie.

Prenumeratorowie stali Opiekuna Domowego, — nadsyłający prenumeratę wprost do Redakcji, otrzymują w dodatku Czytelnię Domową, zawierającą w sobie wybór powieści, romansów, dramatów i tym podobnych dzieł treści belletrystycznej.

OPIEKUN DOMOWY

Warszawa, dnia 10 (22) Marca 1871 roku

ROK VII.

Serja Druga.

Cena: w Warszawie 25 kop. miesięcznie — na Prowincji: rs. 1 kop. 20 kwartalnie (w tém mieści się już opłata pocztowa: za przesyłkę kop. 11¼, oraz za opakowanie i ekspedycję kop 33¾). Skład główny dla pp. Księgarzy *w Warszawie*, w księgarni Ferdynanda Hösicka, Ulica Senatorska Nr. 496, w *Poznaniu* u Leitgebera, — *we Lwowie* u Wilda Karola, *w Żytomierzu* u Budkiewicza księgarza.

Od Redakcyi.

„Opiekun Domowy" wychodzić będzie w Kwartale II-gim r. b. w tym samym jak dotąd zakresie i kierunku. Po ukończeniu obecnie drukującéj się powieści Władysława Łozińskiego, **Żółty Wujaszek**, zamieścimy powieść Teodora-Tomasza Jeża pod tytułem **Opowiadanie Stasia**. Prócz tego, z szeregu utworów zdolnych pisarzy krajowych, mamy do umieszczenia obszerniejszych rozmiarów, **Wycieczkę w Czerskie**, przez Edwarda Chłopickiego. Powieść M. Bałuckiego pod tytułem **Żydówka**, należąca do Czytelni Domowéj, a zapowiedziana przez nas jako dodatek oddzielny, rozesłaną zostanie na prowincję wszystkim *stałym*, od początku bieżącego roku, prenumeratorom Opiekuna Domowego, przy Numerze 15-tym tegoż pisma. Prenumeratorowie zaś *stali* z Warszawy, raczą się zgłosić po odbiór powyższéj książki, z kwitami prenumeracyjnymi, wprost do Redakcyi, zaraz po wyjściu Nr. 15. Cena Opiekuna Domowego pozostaje taż sama, t. j:

w Warszawie:

Rocznie.	rs. 3		
Półrocznie	rs. 1	kop.	50
Kwartalnie	„ —	„	75
Miesięcznie.	„ —	„	25

na Prowincyi:

Rocznie . . rs. 4 kop. 80
Półrocznie. rs. 2 kop. 40
Kwartalnie rs. 1 kop. 20 *).



Wieśniaczka z dzieckiem, z okolic Rzymu. (Kopja obrazu *Millera*).

TORQUATO TASSO.

(Dokończenie).

Siostra Tassa pragnęła iżby pozostał przy niéj nazawsze. Daremne wszakże były jéj przedstawienia. Zaledwie odzyskał utracone siły, gdy myśl o powrocie do Ferrary gwałtownie opanowała jego umysł; pospieszył zatém do Rzymu i ztamtąd, pomimo przedstawień kardynałów Albano i Gonzagi, radzących mu zaniechać powziętego zamiaru, prosił Alfonsa o przebaczenie, a uzyskawszy je wkrótce powrócił do Ferrary. Napróżno wszakże starał się Tasso odzyskać powodzenie i szczęście, po które przybył na ten dwór książęcy. Znikły one

*) W tém mieści się już opłata pocztowa za przesyłkę kop. 11¼, oraz za opakowanie i ekspedycję kop. 33¾.

bezpowrotnie. Daremnie, usunąwszy na stronę poezję, pochlebstwem dworskiém silił się pozyskać łaskę księcia,—źle odgrywał tę rolę, do której nie był zrodzonym. Zniechęcony niepowodzeniem i przekonany że gnusność i zniewieściałość, w pośród której żyć mu pozwolono, dąży do pozbawienia go sławy poety, w czém go jeszcze bardziéj utwierdzało przyaresztowanie jego rękopisów, opuścił Ferrarę. Udał się do Mantui, lecz nie doznawszy tam życzliwego przyjęcia, przeniósł się do Padwy a ztąd do Wenecji. Wspomnienie przyjemnie niegdyś spędzonego czasu w Urbino, wiodło go w to z dziecinnych jeszcze lat znane mu miejsce. W istocie, w początkach przyjęty był bardzo uprzejmie, lecz obawa gniewu Alfonsa wkrótce skłoniła księcia Urbino do okazywania mu największéj obojętności. Niezadowolony, porzucił to schronienie i zaczął błąkać się po wsiach i miastach, dręczony nędzą, niepokojem i chorobą. Wyczerpawszy fundusz pochodzący ze sprzedaży kosztowności otrzymanych w szczęśliwych czasach od księżnéj Urbino, przybył do Turynu w tak opłakanym stanie, iż nie chciano go wpuścić do miasta. Szczęściem, poznał go jakiś literat wenecki i ułatwił przejście. — Karol Emmanuel, oddając sprawiedliwość jego talentom, umieścił go na swoim dworze. Czarna melancholija którą był dręczony ustąpiła; utwory prozą i wierszem, jakie w owych czasach ułożył, dowodzą zupełnéj przytomności jego umysłu. W miarę powrotu do zdrowia, imaginacya poety przywodziła mu na pamięć szczęśliwie spędzone chwile w Ferrarze. Jakaś czarowna ponęta wiodła go znowu do dworu który porzucił. Próżno ofiarowywał mu książę Sabaudii zaszczytne przy sobie miejsce i obiecywał odzyskać jego rękopisy.

Tasso powrócił znów do Ferrary d. 11 Lutego 1579 r., właśnie w czasie zaślubin Alfonsa II z Małgorzatą Gonzagą. Wśród zabaw i balów nikt nie miał dosyć czasu i chęci by zwrócić uwagę na dawnego nieszczęśliwego przyjaciela. Nietylko ministrowie, lecz nawet ich służba, wszędzie odpychali poetę. Książę i księżniczki widzieć go wcale nie chciały. Oburzony wzgardą i poniżeniem którego doświadczył, Tasso zaczął gorzko utyskiwać na niewdzięczność tego, którego imię uwiecznił w swoich poematach. Książę uważając to za dowód pomięszania zmysłów, kazał go zamknąć w szpitalu obłąkanych Ś-éj Anny. Nie będziemy opisywać szczegółowo tego najsmutniejszego ustępu z życia poety; wielu pisarzów, a pomiędzy nimi Lord Byron, odgadując cierpienia człowieka pełnego uczuć wzniosłych i szlachetnych, dotkniętego niezasłużoną karą, uczyniło z więzienia Tassa świątynię, któréj ściany głosić nigdy nie przestaną bolesnych dni poety, odzianego sławą. Napróżno Tasso usiłował odzyskać wolność, daremnie przemawiały za nim księżniczki Lukrecja i Eleonora, kardynał Scypion Gonzaga i miasto Bergamo, nic nie zdołało złagodzić woli Alfonsa. Mury więzienia nie potrafiły jednak zniszczyć twórczéj siły imaginacji poety, mnóstwo bowiem napisał w tym czasie utworów prozą i wierszem, najlepiéj przekonywających iż umysł jego nie utracił wieszczéj swojéj potęgi. Do cierpień odosobnienia i samotności dołączyły się i kłopoty literackie. Epopeja jego już niejednokrotnie wydrukowana, bogaciła wydawców, nie przynosząc korzyści autorowi. Nadto, powstały różnorodne o niéj zdania i opinije. Jedni cenili ją wyżéj od dzieł Ariosta, inni potępiali ją bez miary, jak np. Akademija della Crusca. Aby się bronić, potrzeba było wolności, do któréj daremnie wzdychał Tasso. Ciągłe zmartwienia, których tu bardzo małą część wymieniliśmy, zniszczyły jego zdrowie. — Wreszcie, po siedmiu latach więzienia, książę Mantui, podjąwszy wiele trudów i zabiegów, zdołał wyjednać mu wolność.

Książę zabrał z sobą poetę do Mantui. Tu przyjęty z uniesieniem, w pośród uciech dworu, powrócił do zdrowia, nie odzyskawszy jednak dawnéj swobody umysłu. Wziął się wszakże usilnie do pracy i dokończył tragedji *Torismondo*, którą zamierzał wydać w Bergamo, gdzie pospieszył dla podziękowania obywatelom za udział w jego oswobodzeniu. Przyjęcie jakiego tu doznał, należy do najpiękniejszych tryumfów jego życia. Śmierć księcia Mantui, zmusiła Tassa opuścić Bergamo, by przedstawić się jego następcy. Ten pragnął zatrzymać go przy swoim dworze. Niepokój wszakże ciągle go dręczący, wywoływany nienormalnym stanem zdrowia i nadzieja lepszéj przyszłości, zawiodły go do Rzymu. Tam w istocie w początkach nie szczędzono mu pochwał i obietnic, z których żadna nie doszła do skutku. Upokarzające wreszcie przyjęcie jakiego doznał u kardynała Gonzagi, zmusiło go do opuszczenia tego miasta.

W roku 1588, Tasso udał się do Neapolu i zamieszkał w klasztorze na Monte Oliveto. Czyste powietrze, cisza i spokój jakiego doświadczał, wreszcie nadzieja odzyskania skonfiskowanego po rodzicach majątku, korzystnie wpłynęły na stan jego zdrowia. Wtedy to zajął się poprawieniem *Jerozolimy*, z któréj wyrzucił niepotrzebne i przesadzone pochwały oddawane familji Est.

Wkrótce jednakże sprzykrzywszy sobie w Neapolu, wyjechał do Rzymu, ztąd do Florencji i Mantui, a wszędzie był dręczony niepokojem, kłopotami, niedostatkiem i chorobą. W takim stanie od roku 1588 do r. 1592, przebiegł prawie całe Włochy; pomimo to duch jego nie utracił swojéj twórczości. W owych bowiem smutnych dla poety czasach, ukazała się jego epopeja przerobiona pod tytułem: *Gerusalemme conquista* i poemat: *Le sette giornale del mondo creato.* „Był on zawsze ten sam," jak mówi jeden z wielbicieli Tassa. „Podobny do orła szybującego po nad chmurami, który nie szuka korzyści z przyjaznego wiatru, ani się lęka z przeciwnéj strony dmącego powietrza. Jego muza wpośród nieszczęść, największe czerpała natchnienie...."

Przyszedł wreszcie czas, w którym geniusz Tassa zasłużoną miał odebrać nagrodę. Gdy Klemens VIII wstąpił na tron papiezki, siostrzeniec jego kardynał Cinzio, ściągnął poetę do Rzymu, by głowę jego wpośród wspaniałéj uroczystości uwieńczyć na Kapitolu poetyckim wawrzynem. Niestety! było już zapóźno. Tasso nie doczekał dnia swego tryumfu—albowiem d. 25 Kwietnia, 1595 roku życie zakończył.

Dzieła Tassa, licznych doczekały się edycyj. Wymieniamy tu: Rossiniego (30 tomów, Piza 1820 r.) i Medjolańskie, Opere scelte (5 tomów, 1823 r.)

Na polski język przełożyli *Jerozolimę wyzwoloną*: Piotr Kochanowski, w r. 1618 i Ludwik Kamiński r. 1846.

Dramat *Amyntas*, przekładu P. Kochanowskiego, wydał z rękopismu F. K. Nowakowski (Berlin 1840 r.)

K. Milkuszyc.

MODLITWA UBOGIEGO KMIECIA.

O miłosierna smutnych serc królowo!
Pocieszycielko słodka bolejących dusz!
Nieszczęście w byt mój wplotło się cierniowo...
O Pani! ratuj mnie! złéj doli kamień skrusz!

Nieurodzajem zagon mój czernieje,
U progu chaty mojéj blady stoi głód;
W rozbite okna wicher zimny wieje...
Daremne troski moje, bezowocny trud!...

O Matko Święta! u stóp Twego Syna,
Ten płacz nędznego kmiecia litościwie złóż...
I mnie choć raz niech znajdzie snu godzina,
Owiana śmiechem dziatwy i szelestem zbóż!...

Leonard Sowiński.

RUINY TEB.

Teby, jest to nazwisko kilku miast starożytnych, z których najsławniejszą jest stolica górnego Egiptu. Dziś Teby — to stolica ruin. Na miejscu ich, pośród niezliczonych kolumn, murów i na pół rozbitych sfinksów, wznoszą się dwie błotniste arabskie wioseczki, Luxor i Karnak.

Luxor, to prosty rynek handlowy, — Karnak—szereg grobów i kilkunastu chat wiejskich, prawie opuszczonych przez mieszkańców. Luxor leży na gruncie arabskim, w północnéj części starożytnych Teb. Naokoło niego ciągną się dwoma rzędami pamiątki starożytności: pałac Memnona, dotykający portyku Nilu, który się składa z 44-ch kolumn, i Swiątynia łącząca się z pałacem. Wnętrze pałacu składa się z sal. W jednéj z nich zbudował sobie katedrę Amenofis. Sala ta jest upiększona rysunkami, na jednym z których wyobrażony jest Faraon każący z katedry, w postaci jakoby bóstwa.

Sezostrys-Ramezes, wnuk Amenofisa, mieszkał w tymże pałacu. Na północnéj części jego frontonu wznoszą się jeszcze dwie kolumny, każda na wysokość przeszło 70 stóp, a naprzeciw nich wspaniały obelisk z napisem:

„Pan całego świata, słońce ochraniające prawdę, wybudował ten pomnik na cześć swego ojca Ammona-Ra; wzniesiono te wielkie kamienne obeliski przed Ramzesem, z ruin miasta Ammon.”

Z tego ogromu wspaniałości został się obecnie na wpół starty napis i ruiny bez końca, gdzie gnieżdżą się rozbójnicy, nie znający i nie pojmujący historyi swojego kraju. W ich pojęciu wszyscy ci Ramezesy i Sezostrysy-paszowie, podobni byli do tych, jacy obecnie rządzą w Egipcie.

Od Teb Egipskich, których rycinę tu podajemy, odróżnić należy drugie Teby, miasto będące stolicą Beocyi — jedno z najznakomitszych w starożytnéj Grecyi, sławne z urodzenia Pindara, Epaminondasa i Pelopidasa.

WYSPA MADERA.

Madera, czyli *Madeira*, jest jedną z wysp zachodniéj Afryki i należy do Portugalji. Razem z małą wysepką *Porto-Santo*, oraz z mniejszemi jeszcze *wyspami pustemi*, stanowi gruppy wysp Maderskich, czyli Północno-Kanaryjskich, mającą ogółem 18 i pół mil kwadratowych rozległości. Zdaje się, że pierwszy raz w roku 1419 zwiedzili ją Portugalczycy: Juan Gonzales Zorco, Tristan Vas i Muniz Parestrelo, którzy też na niéj i pierwsze europejskie założyli osady. *Madeira* znaczy drzewo. Nazwę więc swoję zawdzięcza bezwątpienia wyspa ogromnym lasom, mającym się tam pod owe czasy w znacznych rozległościach znajdować. Madera jest wygasłym wulkanem, którego najwyższy szczyt *Pico Ruivo*, wznosi się o 5,682 stóp nad powierzchnię morza. Brzegi jéj są wszędzie stromymi, z kilkoma portami i zatokami, a massy skał oddzielonych od siebie głębokiemi kotlinami dolin, nadają jéj widok powabny i malowniczy. Grunt przeważnie jest bazaltowy. Klimat odznacza się wieczystą wiosną, powietrze ciepłe, jednostajne i nader zdrowe. Latem rosa zastępuje deszcz, w porze zaś zimowéj deszcz częste sprawia wylewy strumieni. Żyzność nadzwyczajna. Głównym produktem wyspy jest wino. Sprowadzone tu w r. 1421 latorośle winne z Krety, dostarczają corocznie około 60,000 beczek wina, z których przeszło połowa idzie na wywóz. Najlepszymi jego gatunkami są: *Malwazyja* i *Dry-Madera* (t. j. sucha Madera), tak zwana od tego, że sama ścieka z jagód najdojrzalszych, już nieco uschłych. Małwazyja czyli *Małmazyja*, była niegdyś ulubioném winem na stołach w Polsce, a skład tego gatunku znajdował się we Lwowie. Zwano je inaczéj *wino małmaskie* i droższém było nawet od węgierskiego, czyli madziaru. W r. 1637, garniec małmazyi koszkował trzy złote polskie ówczesne.

Oprócz tego, dużo jest drzew daktylowych, kasztanów, moreli, brzoskwiń, oraz wszelkiego rodzaju owoców południowych. W ogrodach, oprócz zwykłych warzyw, uprawiane są także ananasy i inne rośliny podzwrotnikowe. Zboże tylko nie wystarcza na potrzeby miejscowe i liczy się do artykułów przywozowych. Jedynemi zwierzętami czworonożnemi, żyjącemi tu w stanie dzikim, są króliki i świnie. Bydło rogate, owce i konie, sprowadzono dopiero z Europy.

Mieszkańcy po większéj części są pochodzenia portugalskiego. Znajdują się jednak pomiędzy nimi Mulaci, Murzyni i cokolwiek oddawna osiedlonych Anglików. Ludność Madery wynosi około 110,000 dusz — i odznacza się pracą, wstrzemięźliwością i zgodnym charakterem.

Handel prawie cały spoczywa w rękach Anglików.

Z miast zasługują na uwagę: *Funchal*, stolica Madery, mająca w sobie rezydencyją biskupią, katedrę, trzy klasztory żeńskie, kościół anglikański i cztery forty, dla obrony przystani; — *Machico* i *Santa-Cruz*.

WYCIECZKA W GŁĄB SERBJI,

1869 roku.

przez

WŁADYSŁAWA KOZŁOWSKIEGO.

(*Dalszy ciąg*).

Nimeśmy się załatwili z głodem, statek zaczął się zbliżać do *Bazyasza*. Jest to najważniejsza stacya na Dunaju, po stronie austryjackiéj. Ztąd idzie kolej żelazna do Pesztu, łącząc zachód ze wschodem. Staliśmy tu najdłużéj, co najmniéj pół godziny, czekając aż się uskuteczni zamiana towarów. Opuścili tu nas wszyscy udający się na zjazd do *Kikindy*, miasta leżącego w Banacie węgierskim. Statek stał się nagle pustym i głuchym, ale nie nadługo. Przed wyruszeniem w dalszą podróż przybyło nam małe, prześliczne dziewczątko, które swą szczebiotliwością wypełniało ciszę statku i zabawiało nas swemi pytaniami i rezonowaniem. Dziewczątko to weszło na statek z kobiétą lat trzydziestu, ubraną po europejsku, przemawiającą do niego raz po francuzku, drugi raz po niemiecku, to znowu po serbsku, jakby chciała się popisać ze swą babilońską wiedzą. Wziąłem ją był za guwernantkę Niemkę, gdyż francuzczyzna wymownie świadczyła że francuzką nie jest. Dowiedziałem się późniéj, że była to Wołoszka; że to piękne dziewczątko nie jest jéj pupilką, ale własną, przydybaną gdzieś trafunkowo, w rozmaitych życia kolejach, córeczką; że sama owa pani, będąc wdową po trzech mężach żyjących, jest obecnie doczesną żoną czwartego, również jak i trzech pierwszych—za kontraktem. Słowem, była to emancypantka, która jeżeli nie bawiła się w apostolstwo emancypacyi, za to praktykowała ją jak tylko praktykować umieją namiętne córy rumuńskiego państwa.

Brzeg Dunaju austryjacki, od Bazyasza aż do Orssowéj, ciągnie się nieprzerwaném pasmem wzgórz, które stopniowo powiększając się, przechodzą koło Golubca w wysokie i strome góry, już to pokryte zielonością, już przyświecające nagimi skał bokami. Przeciwnie brzeg serbski, zaczynając od wzgórza, na którém wznosi się starożytny zamek Rama, przedstawia równą i daleko w głąb kraju zachodzącą płaszczyznę, prawie wszelkiéj pozbawioną roślinności, istny step piaszczysty, po którym panujący tu w téj części Dunaju wiatr *Koszawa*, przesuwa olbrzymie nieraz fale ruchomego piasku, przenosząc go nierzadko na drugą stronę Dunaju całemi masami. Step ten ciągnie się aż do Golubca.

Podanie ludowe mówi, że ongi, przed wiekami i na całéj przestrzeni obejmującéj Banat, Slawonię i ów step serbski, było morze, zwane *Białém*; że w następstwie wieków, gdy fale tego morza, przerwawszy skaliste ściany siedmiogrodzkich karpat, przetorowały sobie drogę do morza *Czarnego*, do tego ostatniego zlały się wody morza Białego, zostawiając po sobie Dunaj, a raczéj wyżłobione w skałach jego koryto.

Około godziny trzeciéj po południu, przybyliśmy do Gradyszta. Tu nas pożegnały dwie moje jeszcze z Belgradu towarzyszki—matka z córką dorosłą. Pozostała mi na pociechę—wołoszka, z jasnowłosém dziewczątkiem.

Zaledwie że statek przybił do brzegu, zjawia się jakaś figura, w europejskiém ubraniu, z cylindrem na łbie i podbiegając z nieudałą gracyą do wołoszki: „a, bon jour, Madame!”—zawołał, z akcentem zdradzającym Serba. „Et comment ça va? Comment ça va votre mari?” Tu się zatrzymał, nie wiem, czy że zasób szczupły źle nauczonych frazesów nie pozwalał mu przedłużyć rozmowy, czy chciał się przekonać, jakie jego francuzczyzna nieszczęśliwa robi wrażenie na słuchaczach, dość, że się zatrzymawszy, spojrzał w około. Spotkał się tylko z mojém spojrzeniem, w którém musiał zapewne wyczytać śmiech szczery, względami przyzwoitości tłumiony w piersi. Poczerwieniał, jak pensyonarka, ukłonił się, z widocznném pomiąszaniem i powiedziawszy: „bon jour Madame!” co spiesznéj wyniósł się ze statku. Przekonałem się że małpy i papugi nietylko u nas się rodzą. W czasie dalszéj naszéj podróży, zwraca się do mnie moja towarzyszka z zapytaniem, ażali nie do Orssowy jadę? Pytanie proste i niewinne, z tém wszystkiém zaniepokoiło mnie trochę, a zaniepokoiło raz dla tego, że było sformułowane w mowie niemieckiéj, z którą nie w najlepszych zostaję stosunkach, powtóre, że moja interlokatorka była... była... straszliwie brzydka. A jak koń na widok wielbłąda doznaje trwogi niepochamowanéj i nerwowego dreszczu, tak ja na widok brzydkiéj kobiety. Trwoga moja przed brzydką kobietą nie pochodzi ze względów czysto estetycznych, ale także z téj saméj smutnéj fatalności, która mnie przez całe moje życie prześladowała, a mianowicie, że kochałem ciągle kobiety piękne, które mi się odpłacały obojętnością; zapał mój, moje łzy, zaklęcia i szaleństwa wynagradzając w końcu—wieńcem grochowym. Jednocześnie byłem kochany przez brzydkie, jak grzech śmiertelny dla anioła, skromnisie lub stare dewotki, które mi do rozgorączkowanego i zrozpaczonego serca przykładały nieustannie kataplazmy swoich współubolewań, zaprawianych czułemi spojrzeniami. Kochać zawsze kobiety piękne i być kochanym jednocześnie tylko przez brzydkie—nie jest-że to owa katuszą dantejską, w któréj jedna połowa człowieka praży się w ogniu, wtedy, gdy druga się zamraża? A po przebyciu niejednokrotném takowéj katuszy, ażaliż moja trwoga przed brzydką kobietą nie jest usprawiedliwiona?

Nie bez racyi tedy doznałem niepokoju z powodu zrobionego mi pytania, którym zdawał się do mnie przemawiać mój fatalizm. Zapanowawszy wszakże nad chwilową trwogą, wykrztusiłem jéj w odpowiedzi, że jadę do Milanowca, prosząc ją zarazem, by zechciała do mnie mówić po francuzku, gdyż po niemiecku nie mówię.

Jeden mój znajomy opowiadał pewnego razu o swych przygodach w podróży przez Niemcy. Ponieważ wiadomo było że po niemiecku nie umie, zapytujemy go jak sobie radził z niemczyzną? W sposób bardzo prosty.... ja po niemiecku rozumiem, tylko mówić nie mogę, a miałem towarzysza który znów nie rozumiał, ale za to mówił po niemiecku. Radziliśmy więc sobie tak: gdy Niemiec do nas zagadał, tłumaczyłem po polsku memu towarzyszowi, a ten po niemiecku odpowiadał Niemcowi. Otóż brakowało mi właśnie takiego wspólnika, któryby mówił po niemiecku, nie rozumiejąc — a byłbym mógł z jego pomocą prowadzić niewielką konwersację z nienadobną wołoszką.

Z rozmowy z wołoszką dowiedziałem się, że zmierzamy w jedno miejsce, gdyż ona także jechała do Majdan-Peku.

Lecz oto zbliżamy się *do bramy żelaznéj*. Zostawmyż wołoszkę jéj opiekuńczym bogom, a sami przypatrzmy się najpiękniejszym obrazom natury, jakich napróżno gdzieindziéj szukać.

Co to jest *brama żelazna?* Jest to cieśnina Dunaju, poczynająca się u Golubca, a ciągnąca się aż do *Kladowéj*, cieśnina zawarta w głębokim, skalistym wąwozie, który fale Dunaju, a jak lud wierzy, *Morza białego*, wyżłobiły w Karpatach południowych, przekraczających z Siedmiogrodu do Serbji i rozłażących sią po całéj *Krainie* (prowincya serbska).

U samego wejścia do téj cieśniny, zwanéj po turecku *Dżemir-kapia*, po serbsku z turecka *Dzierdap*, a po polsku *żelazna brama*, wystaje z wody, na samym środku rzeki, wysoka, o konicznym kształcie skała, ze śladami na szczycie starożytnéj budowy. Samotna ta skała nazywa się *Babakaj*, co znaczy *piękny dom*. Miała tu być osadzona kiedyś za przeniewierstwo pewna żona. To *kiedyś* musi oznaczać strasznie odległe czasy, które minęły niepowrotnie. W dzisiejszym wieku emancypacyi, zdradzonym mężom nie pozostaje, jak chyba samym wynosić się na *Babakaj*.

Naprzeciwko téj skały, na brzegu serbskim, stoją zwaliska starożytnego zamku. Jestto tak zwany *grad Golubac*, czyli resztki golubackiéj twierdzy. Na tém właśnie miejscu był starożytny Golubac, przy oblężeniu którego zginął Zawisza Czarny. Nieopodal od niego leży wioska Golubac, o któréj mówiłem powyżéj.

Stary Golubac sławnym jest jeszcze w Serbji z pewnego gatunku much, które wylęgają się w skalnych pieczarach, znajdujących się w jego okolicach. Mucha ta, zwana *mszycą golubacką*, wylatując na wiosnę całemi chmarami, stanowi ogromną klęskę dla sąsiednich okolic; od niéj bowiem secinami padają konie, woły, owce i świnie. Wszelkie środki używane dla jéj wytępienia, okazały się dotąd bezskutecznymi.

Cała cieśnina Dunaju, nosząca ogólną nazwę *Dzierdap*, w różnych miejscach różne przybiera nazwisko. Od Golubca do osady *Dobra*, zowie się ona zwyczajnie Golubacką cieśniną; od Dobra do Milanowca—górnym *Dzierdapem*; daléj następuje *Kazańska cieśnina* i *dolny Dzierdap*, między Orssową i Kladową. Najniebezpieczniejszemi dla żeglugi są: górny Dzierdap i Kazańska cieśnina, najeżona podwodnemi skałami, które zaledwie wązkie zostawiają przejście dla statków. Przez całą tę cieśninę, mogą przechodzić li tylko małe statki.

(d. c. n.)



Ruiny Teb. (Str. 90).

USZLACHETNIANIE DRZEW I KRZEWÓW.

Uszlachetnianie drzew i krzewów ma na celu usposobienie ich do wydawania lepszych owoców lub piękniejszych kwiatów od tych, jakie z natury zdolne są wydawać. Dzika jabłoń lub grusza, rodząca kwaśne, cierpkie, nieprzyjemnego smaku owoce, po uszlachetnieniu wydawać będzie smaczne renety, kalwile, winiówki, bery, i t. d. a skromny kwiat róży polnéj zastąpionym być może przez pełny, rozmaitego kształtu, barwy i zapachu kwiat odmian szlachetnych. Można nawet, przez odpowiednie zastósowanie sposobów uszlachetniania, otrzymać na jednéj i téj saméj roślinie, kilka odmian owocu lub kwiatu. Mieliśmy sposobność widzieć gruszę o dwóch odnogach, z których jedna rodziła sapieżanki, druga zaś pasówki, oraz prześliczny okaz róży, o jednym pniu, około 2-ch łokci wysokim, z wierzchołka którego wyrastały odrośle, pokryte obficie dubeltowym kwiatem żółtym i płomienistym. Zaprawdę, piękny to dowód panowania człowieka nad naturą!

Uszlachetnianie drzew i krzewów obejmuje kilka rozmaitych czynności, odmiennemi nazwami oznaczonych, z których główne są: szczepienie, stósowanie albo łączenie i oczkowanie czyli okulizowanie.

Szczepienie używa się tylko do uszlachetniania płonek starszych, mających znaczną grubość, w przeciwnym bowiem razie korzystniéj jest użyć stósowania. Szczepienie polega na odjęciu górnéj części płonki, rozszczepieniu części pozostałéj i osadzeniu w niéj odpowiednio przygotowanego szczepu, czyli zraza. Stanowi ono najmniéj dobry sposób uszlachetniania, gdyż zagojenie starych i grubych pni jest trudne, a nadto przedstawia tę niedogodność, że jeżeli się odrazu nie uda, to płonka niszczeje, czego przy stósowaniu i oczkowaniu nie doświadczamy. Do szczepienia najwłaściwszą jest

pora kiedy soki zaczynają się poruszać, t. j. wiosna, począwszy od Marca aż do Maja; przytém należy je przedsiębrać w czasie pogody, gdyż w słotę rzadko się udaje. Jest kilka sposobów szczepienia, a mianowicie:

a) *Szczepienie w całkowity rozszczep*, (Fig. 1) dopełnia się jak następuje: odrzyna się wierzchołek pnia lub gałęzi, za pomocą piłki ogrodniczéj, uważając, aby kora się oddarła; po wygładzeniu powierzchni nożem rozłupuje się pieniek, przystawiając doń nóż i uderzając zlekka młotkiem, poczém, wyjąwszy nóż, zasadza się w środek rozszczepu długi klinik. Następnie zarzyna się szczep, t. j. zraz albo latorośl klinowato i wsadza z jednego brzegu pieńka tak, ażeby miazga szczepu zeszła się z miazgą pnia. W podobny sposób można założyć takiż szczep i z drugiego brzegu pnia. Wtedy wyjmuje się klinik, obwija miejsce zaszczepione szmatką lub papierem nasmarowanym maścią drzewną i dobrze obwiązuje łykiem.

b) *Szczepienie w rozszczep połowiczny* (Fig. 2), uskutecznia się w ten sam sposób, z tą tylko różnicą, że rozszczepienie robi się od połowy pnia, zostawując drugą połowę jego w całości.

c) *Szczepienie za korę* czyli *kożuchowanie*, używa się bardzo



Wyspa Madera. (Str. 91).

rzadko i to do uszlachetniania starych i mocnych pniów, a właściwie gałęzi. Płonka zrzyna się poziomo, następnie zaś z boku od góry, w kierunku podłużnym przecina się kora, aż do miąższu drzewnego i rozdzieliwszy brzegi nacięcia kostką, wstawia się pomiędzy nie szczep, który należy odpowiednio przygotować, a mianowicie: narżnąć pod dolném oczkiem poprzecznie i następnie ukośnie ku dołowi, jak przedstawia Fig. 3. Przewiązka robi się z mocnych nici wełnianych (pokrętki).

d) *Szczepienie w zacios* bywa używaném do uszlachetniania roślin cieplarniowych, jak pomarańcze, kamelije i t. p. Jest to operacya bardzo łatwa; płonka i szczep przygotowuje się jak Fig. 4 pokazuje, a przewiązka daje się z łyka albo wełnianéj pokrętki.

Stósowanie, łączenie albo **kopulizowanie** zasługuje na pierwszeństwo przed innymi sposobami uszlachetniania, a mianowicie przed szczepieniem, ponieważ w wykonaniu mniéj jest gwałtowném dla płonki. Ma ono nadto te zalety, że płonki mogą być kopulizowane bardzo wcześnie, bo nawet w pierwszym roku życia; że przez nie otrzymujemy prędko piękne, zdrowe i z równymi pniami drzewa; nakoniec, że może być użytém do uszlachetniania wszystkich gatunków drzew owocowych i dopełnianém nietylko na wiosnę, ale także w jesieni a nawet w zimie. Samo wykonanie bywa i tu rozmaite.

Gdy płonka i szczep mają mniéj więcéj jednakową grubość, najlepiéj jest postępować w sposób następujący: zrzyna się je ukośnie, równo, (Fig. 5) zestawia z sobą tak, ażeby kora płonki stykała się z korą szczepu, chociażby w jedném tylko miejscu, następnie obwiązuje się je mocnemi wełnianemi pokrętkami i smaruje na spojeniu maścią. Jest to najłatwiejszy i najpewniejszy sposób uszlachetniania drzewek, byleby ścięcie było dokładnie wykonaném a przewiązka starannie i mocno założoną.

Gdy szczep jest znacznie cieńszy od płonki, używa się sposobu od formy wycięcia do siodła zbliżonéj, zwanego *w siodło*, który przedstawia Fig. 6. Szczep pod dolném oczkiem narzyna się poprzecznie, a następnie ukośnie ku dołowi i przystawia do płonki, z boku któréj zrobiono wycięcie tejże wielkości i kształtu jak na szczepie, przyczém górna część płonki się zrzyna. Przewiązka robi się jak w poprzedzającym sposobie, albo też, co lepiéj, za pomocą pasków papierowych, nasmarowanych maścią ogrodniczą. Przylegają one mocno i nie przepuszczają powietrza, a gdy szczep zrośnie się z płonką, pękają same bez sztucznéj pomocy.

Stósowanie z boku albo *przykładanie*, różni się od wszelkich innych sposobów uszlachetniania tém, że nie wymaga zrzynania górnéj części płonki. Na niéj z boku, w miejscu gładkiém (Fig. 7), robi się poprzeczne nacięcie kory i części młodego miąższu drzewnego; od nacięcia tego w długości 1 i pół do 2 cali ku górze, zrzyna się korę i miąższ. Do wycinka ztąd powstałego przykłada się szczep zaciosany ukośnie i obwiązuje wełnianą pokrętką.

Wreszcie zaliczyć tu można sposób uszlachetniania *przez zrośnięcie*, używany najwięcéj do roślin oranżeryjnych, mianowicie większych, które nie znoszą innych sposobów. Na wiosnę, przed ruszeniem się soków, bierze się szlachetną latorośl, 4 do 5 cali długości mającą i w odległości 1 i pół do 2 cali od dolnego końca zrzyna się jéj bok i przykłada do podobnie przygotowanéj płonki. (Fig. 8). Związawszy je należycie, dolny koniec latorośli wkłada się do flaszeczki napełnionéj wodą i przywiązanéj do pnia płonki, w skutek czego latorośl zachowuje swą świeżość do czasu zrośnięcia się z płonką. Jeżeli latorośl rośnie w wazonie, lub w stosownéj odległości, nie potrzeba jéj od pnia macierzystego odejmować, lecz w takiż sam sposób połączyć z płonką i odciąć wtedy dopiero, gdy zrośnięcie

ich nastąpi w sposób, jak wskazuje Fig. 9. Dla większéj pewności przyjęcia, dobrze jest nieodrazu odciąć latorośl, lecz stopniowo, aby przez to nawykła ciągnąć soki z nowego źródła. Za pomocą tego sposobu można uszlachetnić nie jeden tylko pęd, lecz kilka gałązek, a nawet cały wierzchołek drzewa.

Oczkowanie albo **okulizowanie**, polega na wstawieniu w pień płonki oczka wyjętego z latorośli szlachetnéj. Na ten cel wybiera się latorośl z drzewka lub rośliny zdrowéj i niestaréj, opatrzoną silnymi liśćmi i pączkami, odejmuje się jéj liście powyżéj wypustków i wycina oczko z korą i częścią miąższu drzewnego, jak to pokazuje Fig. 10*a*. Najlepsze oczka bywają zwykle w połowie latorośli, którą zrzynać należy przed samém użyciem, a przynajmniéj nie wcześniéj jak na 3 dni. Mając już odjęte oczko, oddziela się ostrożnie miąższ drzewny od kory (Fig. 10*b*.), starannie ochraniając oczko i przestrzegając, aby jego zawiązek uszkodzonym nie został, i dla tego oddzielanie to należy koniecznie rozpoczynać od góry. Następnie odcina się korę w poprzek, tuż po nad oczkiem (Fig. 10*a*.) lub też pod niém, z przeciwnéj zaś strony oczka zrzyna się korę klinowato. Jeszcze przed oddzieleniem miąższu od kory należy upatrzeć na płonce miejsce gładkie i równe, i na niém zrobić nożem ogrodniczym zacięcie w kształcie **⊥** lub **T**, korę w kątach nacięcia unieść za pomocą kostki, zwykle w osadzie noża znajdującéj się, a oddzieliwszy ją od drzewa wsunąć pod nią przygotowane w sposób wyżéj opisany oczko, tak, ażeby tępo ścięty brzeg kory zastosował się z poziomą liniją nacięcia w płonce (Fig. 11). Wtedy obwiązuje się łykiem miejsce okulizowane, nie naciskając oczka. Ażeby woda z deszczów nie mogła się dostać do środka, obwiązywanie rozpocząć należy od dołu; dla zabezpieczenia zaś oczka od zbytecznego działania promieni słonecznych, można takowe zasłonić od góry liściem.

Jeśli oczkowanie pomyślnie wykonaném zostało, to wkrótce między korą wstawionego oczka i miąższem drzewnym płonki, pod wpływem znajdujących się w nich soków żywotnych, tworzy się delikatna tkanka komórkowata, która łączy organicznie oczko z płonką i sprawia ich zrośnięcie.

Jeżeli na płonce kora z łatwością się oddzieliła, w oczku zaś nie chce się od miąższu oddzielić, to lepiéj nie odrywać go gwałtownie, lecz ściąwszy massę drzewną jak można najwięcéj, wstawić tak oczko w nacięcie płonki; będzie to tak zwane *oczkowanie z tarczą drzewną*.

Oczkowanie wykonywa się albo podczas pierwszego krążenia soków, w zimie i na wiosnę, albo w czasie drugiego krążenia, w lecie. W pierwszym razie oczko zaczyna wegetować w tymże jeszcze roku i wtedy mówimy, że rośliny zostały *okulizowane w żywe oczko*; w drugim razie, gdy oczkowanie wykonano w lecie, oczka do następnéj wiosny nie objawiają znaków życia i z tego powodu nazywamy je *okulizowaniem w martwe oczko*. Pierwszy sposób używa się do oczkowania w koronie drzew, mianowicie pestkowych, drugi zaś najstósowniejszy dla drzewek owocowych ziarnowych, osobliwie gdy te okulizują się blizko ziemi. W naszym klimacie właściwszym jest sposób drugi; oczko bowiem przyjęte nie tak łatwo przemarża jak to, które już wydało latorośl, gdyż to nie ma przed zimą dosyć czasu, aby jéj tkanka drzewna dostatecznie się wzmocniła.

Ażeby oczkowanie uwieńczoném zostało pomyślnym skutkiem, należy:

1) oczkować w téj porze, kiedy kora łatwo oddziela się od drzewa, t. j. w czasie najsilniejszego krążenia soków;

2) wybierać płonki zdrowe, z silnymi korzeniami;

3) używać płonki tego samego gatunku co latorośl, albo przynajmniéj bardzo blizko z nim spokrewnionego;

4) obserwować bacznie miejsce oczkowane i za dostrzeżeniem zgrubienia na niém pnia, przewiązkę zwolnić, aby nie cisnęła kory; skoro zaś oczko wypuści pędy—odciąć ją zupełnie.

ŻÓŁTY WUJASZEK.

OPOWIADANIE,

przez

Władysława Łozińskiego.

(*Dalszy ciąg*).

Po kilku minutach takiéj gonitwy skoczyłem w bramę jednéj z kamienic i tam się za stos drzewa skryłem. Słyszałem jak żołnierze, do których się i inni na ochotnika przyłączyli, przybiegli pod kamienicę.

Zmylili trop, minęli mnie — mógłem odetchnąć swobodniéj.

Tymczasem zmrok stawał się coraz gęstszym, ściemniło się nadobre. Wytchnąwszy i wysapawszy się nieco w mojém ukryciu wyszedłem na ulicę, ostrożnie oglądając się dokoła. Począłem rozmyślać coby mi teraz czynić wypadało. Byłem wolny, ale nie miałem sposobu do dalszego dzieła.

Gdzie teraz odszukać Szalborskiego? Jakim cudem odkryć miejsce w którém Helenkę ukrył? Jak zapobiedz, aby zapowiedziany ślub nie odbył się w swoim czasie t. j. za godzinę, za pół godziny może? Pytania te nawałem cisnęły się do mojej głowy, a na żadne odpowiedzieć nie byłem w stanie.

Chwilkę stałem na miejscu zrozpaczony, bezradny. Nareszcie jakby dobry duch podszepnął mi imię Dyzmy. Postanowiłem się udać natychmiast do niego. Można było przecież przypuszczać, że Dyzmie nie uszły jakie przygotowania pryncypał jego musiał robić do wykonania swéj intrygi i że może dać mi wskazówkę jaką, dla niego, jako nieświadomego całéj tajemnicy obojętną, dla mnie nieocenioną.

Pobiegłem tedy natychmiast do Dyzmy. Nie szukałem go jednak w kancelaryi mecenasa, bo najpierw,niebezpiecznie mi było pokazywać się tam, a powtóre, w tak późnéj godzinie Dyzma był już po skończonéj robocie w domu u siebie.

Mieszkał na Krakowskiém, dobry kawałek od miasta. Pobiegłem do niego spiesznie i na szczęście zastałem go w domu, właśnie w chwili kiedy miał wychodzić. Mieszkał on w dwóch małych pokoikach, razem z swym ojcem, zubożałym dzierżawcą, którego pracą swą utrzymywał. Gdy mnie zobaczył i ucieszył się i przestraszył zarazem. Większy był jednak przestrach jego niż uciecha, bo się cofnął w tył i zalęknionym wzrokiem mierzył mnie od stóp do głowy.

— Nieszczęśliwy, ty tutaj!—zawołał.

— Czemuż się tak lękasz i dziwisz, czy wiesz o czém może? zapytałem.

— A jakże nie mam wiedzieć —odparł Mazio, cały jeszcze zestraszony—toż całe miasto mówi o tém, jak chciałeś zamordować Szalborskiego i jak cię pod muszkiety wzięto! Jakim sposobem tu się dostałeś?

— Uciekłem straży.

Mazio zbladł jak chusta.

— Człowieku—zawołał drżąc cały—zgubiłeś mnie i siebie. Ja ci dać schronienia nie mogę;wynajdą cię tu—stracę nietylko chleb, ale i do więzienia się dostać mogę'

— Głupiś - krzyknąłem; bo mnie tchórzostwo Dyzmy naprawdę rozgniewało—nie przyszedłem cię gubić i nie proszę o schronienie.... Ale nie spodziewałem się nigdy, abyś dla zajęczego serca odmawiał pomocy przyjacielowi.

Poczerwieniał biedny Mazio od wstydu i zaczął mnie przepraszać!

— Ależ mój drogi Józefie—mówił—nie bierz słów mych w tak złém znaczeniu! Jestem bojaźliwy nieco, to prawda, ale zważ że gdy mnie spotka jaki nieszczęśliwy wypadek, to najbardziéj ucierpi na tém mój ojciec biedny.

— No, no, wierzę ci—przerwałem mu—i przepraszam za cierpkie słowa. Widzisz w jakiej gorączce jestem.

— Powiedzże mi, na miłość Boga, co się z tobą działo i co za nieszczęsną przygodę wyprawiłeś z Szalborskim? Ja już wczoraj rano byłem o ciebie, a bardziéj jeszcze o siebie, w wielkiéj trwodze, bo zaledwie zakwaterowałem cię w pustym pałacu, dowiedziałem się że jego właściciel jest we Lwowie i pomieszkanie swoje zajął. Pobiegłem téż zaraz raniutko aby cię wykwaterować, bo jak wiesz, zrobiłem wbrew woli mecenasa, ale drzwi były zamknięte i daremnie pukałem. Przybiegłem potem po raz drugi przed południem—pokój był otwarty, ale ciebie trudno było znaleźć.... Zabrałem więc twój tłumok, szablę i pistolety, i przeniosłem tu cichaczem do mnie.

— Dobrześ zrobił,kochany Mazio—rzekłem—szabla i pistolety, kto wie, czy się nie zdadzą zaraz.... Ale teraz mam do ciebie prośbę wielką. Nie chcę cię narazić na żadne niebezpieczeństwo, ale błagam tylko pomocy przyjacielskiéj. Nie odmówisz mi jéj, jeśli nie chcesz ujrzeć, jak sobie palnę w łeb z pistoletu.

Poczciwy Mazio zbladł znowu jak kreda i w milczeniu załamał ręce.

Opowiedziałem mu całą przygodę moję w pustym pałacu i to co tam podsłuchałem.

Mazio aż za głowę się chwycił, przekonawszy się tym sposobem, jaką szkaradną intrygę uknuł jego przewrotny pryncypał.

— Ktoby się był tego spodziewał!— powtarzał ciągle zalękniony.

Gdy mu opowiedziałem dalej moje zajście z Szalborskim

wykazałem jakie niebezpieczeństwo grozi mnie i Helence, bo właśnie za kilka chwil może odbędzie się ślub z wybranym przez Szalborskiego jegomością, zawołał przerażony:

— Wszystko przepadło! Wszystko stracone! Gorączką twoją popsułeś rzeczy i udaremniłeś ratunek. Józefie, zaklinam cię, zrezygnuj ze wszystkiego i salwuj siebie, bo nie wiesz w jakie nieszczęście wplącze cię Szalborski. Wynajdą cię, uwiężą, i przepadło...

— Ja mam salwować siebie, jak podły tchórz—krzyknąłem na biednego Dyzmę—nigdy, przenigdy! niechaj położę i głowę. Nie dam się zjeść tak łatwo przez łotra rabulistę! Zamiast dać mi pomoc, ty mi otuchę jeszcze odbierasz!

— Ale cóż ja ci pomogę, cóż ja ci pomogę! jęczał strapiony Dyzma.

— Powiedz mi tylko—zawołałem—czy nie uważałeś, czy nie podsłuchałeś czego, coby mi mogło dać ślad jaki, gdzie ukryto Helenkę? Przypomnij sobie dobrze, niepodobna przecież aby w ostatnich dniach u Szalborskiego nie czyniono jakich tajemniczych przygotowań!

— Nie—szepnął Dyzma.

— Ależ człowieku!—zawołałem z desperacyą—przecież dziś Szalborski Helence wesele wyprawia. Nicże ci nie wpadło pozawczoraj, wczoraj, albo dziś może w nocy, coby wskazówkę jaką dać mogło?...

— Nie — powtórzył Dyzma.

— A toś chyba tuman na cztery gwoździe zakuty! — zawołałem—ale to być nie może, w żaden sposób nie może.

— W ostatnich dniach, ręczę ci, nic takiego nie zauważałem, mówił Mazio—ale, ale.... Otóż może i ślad będzie!

I jakby uradowany poruszył się żywo na miejscu.

— Mów, zaklinam cię, ani chwilki niema do stracenia!

— Jak ci to opowiadałem już nieraz, chodziłem i chodzę wieczorami na przedmieście janowskie, het za miasto, w codzienne odwiedziny do pana Macieja, którego córkę, pannę Magdusię, znasz przecie. Otóż zdarzało się od dwóch miesięcy, że idąc tam lub powracając w nocy, spotykałem albo samego młodego Szalborskiego, albo razem z mecenasem... Umykałem im z drogi i chowałem się, a tak sam niedostrzeżony śledziłem nieraz. Otóż prawie codziennie w nocy, widywałem jednego albo obudwóch jak szli lub jechali do małego domku, który tam stoi samotny, otwierali sobie kluczem furtkę i niknęli za parkanem.

— Czemużeś mi tego pierwéj nie powiedział? zawołałem z wyrzutem.

— Ale cóż to ciebie obchodzić mogło? Przecież nie miałeś najmniejszego posądzenia na Szalborskiego! Któż się tego mógł spodziewać?— tłumaczył się Dyzma.

— I znasz dobrze ten domek?

— Znam.

— Czy i ostatnimi dniami także spotykałeś tam Szalborskich?

— Pozawczoraj jeszcze.

— Więc prowadź mnie tam!

Dyzma się zawahał. Na twarzy jego malowało się najwyższe zakłopotanie.

— Jakto, nie chcesz?— ryknąłem prawie jak zwierz dziki, bo mi się aż wgłowie paliło—musisz, przysięgam ci, że musisz! Strzelę ci w łeb ja psu, zasiekam na śmierć, jeżeli się takim podłym tchórzem okażesz!

Dyzma drżał jak listek.

— Uspokój się człowiecze! — błagał — pójdę z tobą gdzie chcesz, tylko ochłoń z furyi, na miłość Boga, bo znowu siebie i twoję Helenkę zgubisz. Poprowadzę cię aż do saméj uliczki, tam poczekamy ukryci, aż nadjadą lub nadejdą Szalborscy.

— A jak już będą w domku!

— To ci go wskażę i rób sobie co chcesz, skacz w piekło, narażaj karku, kiedyś szalony—wołał zrozpaczony Dyzma.

Skoczyłem mu na szyję i uściskałem z wdzięczności.

— A więc chodź natychmiast! Tu chwilka rozstrzyga a mnie ziemia pali się pod stopami... Dawaj moję szablę, pistolety i burkę.

Dyzma podał mi żądane rzeczy i sam w płaszcz się szeroki owinął.

— Naprzód, w imię boże!—zawołałem, ściskając kurczowo rękojeść szabli.

Wyszliśmy. Dyzma nasunął czapkę na oczy i owinął się w płaszcz aż powyżéj nosa, aby go nie poznano. Kiedyśmy już wyszli za miasto, szedł z bojaźliwą ostrożnością, oglądając się na wszytkie strony i umykając przed lada cieniem.

Na uliczce przedmiejskiéj, którą zdążaliśmy, nie było żadnego oświetlenia, a noc robiła się ciemną, tak, że oczy chyba wykłuj. Szliśmy milcząc, tylko od czasu do czasu przynaglałem Dyzmę aby szedł prędzéj i pytałem, czy daleko?

Tak uszliśmy już spory kawałek drogi, nie spotykając nikogo, i począłem już natarczywie nalegać na Dyzmę, aby spiesznéj mnie prowadził, gdy naraz usłyszeliśmy za sobą turkot kilku pojazdów.

Dyzma przelękniony chwycił mnie natychmiast za płaszcz i zaciągnął z sobą na bok, pod jakiś dom, i tam się skrył.

— Uważaj ztąd dobrze — rzekł do mnie—może to oni jadą.

Wytężyłem wzrok. Oba powozy były oświetlone latarniami. Spojrzałem tylko na pierwszy, który szybko przejeżdżał, i ledwie zdołałem stłumić okrzyk, który mi się wyrywał z piersi.

Wpowozie, jak to przy świetle latarni ujrzałem, siedziało kilku młodych ludzi, postrojonych paradnie, z bukietami weselnymi na frakach.

Między nimi rozpoznałem młodego Szalborskiego.

Wdrugim powozie siedziało także kilku młodych panów cywilnych i wojskowych, tak samo w strojach paradnych i z bukietami na piersi. Starego Szalborskiego ani w pierwszym ani w drugim powozie nie widziałem.

— To oni!—zawołałem, zrywając się z miejsca.

— Cicho!—szepnął Dyzma—bo znowu nawarzysz bigosu!

— Ha, pohańcy! dam ja wam wesele!—zawołałem w uniesieniu i chwyciłem za rękojeść szabli.

Tymczasem powozy oddaliły się szybko, nikt z jadących nas nie dostrzegł.

— Za nimi!—zawołałem—Dyzmo, spiesz się, bo dalibóg gotówem ci w łeb wypalić!

I chwytając go za ramię, puściłem się za powozami. Nie chciałem puścić od siebie Dyzmy, bo obawiałem się, aby mi powozy gdzie na skręcie nie zginęły z oczu, a sam nie widziałem gdzie ów dom przedmiejski się znajduje.

Kiedy tak szarpałem za sobą Dyzmę, ścigając wzrokiem powozy oddalające się w ciemnościach, ujrzałem że się zatrzymały przed jakimś domkiem niedaleko od nas.

— Czy to tam?—zapytałem Dyzmę.

— Tam! – odpowiedział mój towarzysz, wyrywając mi się z rąk i drżąc od strachu.

Puściłem go, bo mi był już niepotrzebny i sam pędem pogoniłem ku powozom. Gdy ich już prawie dobiegałem, ujrzałem jak brama w parkanie wysokim, który otaczał przedwiejski domek, otwarła się i jak powozy wjechały na podwórze.

Usłyszałem naszczekiwanie psa i zatrzaśnięcie bramy, którą zamknięto.

Wkilka chwil dopadłem domku, zostawiając za sobą w tyle Dyzmę, który ostrożnie i boczkiem za mną postępował.

Stanąłem przed parkanem i zaczerpnąłem tchu do piersi, którego mi już nie stawało. Brama była zamknięta. Domek za parkanem był mały i nizki, na wzór miejskich dworków zbudowany, okiennice były pozamykane, tylko z otworów, które były w nich wyrżnięte, biło jasne światło.

Nie miałem się co namyślać! Gdyby w domku ukrywała się była nawet cała brygada z działami, byłbym go szturmem dobywał.

Opatrzyłem pistolety, westchnąłem do Boga i dobyłem szabli, zawieszając ją sobie u dłoni. Potém podsunąłem się pod parkan, aby go przesadzić. Ledwie go stopą dotknąłem, usłyszałem zażarte szczekanie psa. Rzuciłem się jeszcze szybciéj na parkan, bo bałem się aby hałas ten nie zwrócił uwagi w domku i aby mnie nie uprzedzono.

Jednym prawie skokiem stanąłem na parkanie. Ogromne czarne psisko powitało mnie wściekłém, zażartém ujadaniem.

Skoczyłem na dół, na podwórze, pies rzucił się na mnie z dzikiém warczeniem. Zaciekła to jakaś była bestya; miotała mi się do oczu, tak, że czułem gorący oddech paszczy. Byłby mnie poszarpał ten brytan okrutny, ale płatnąłem go przez łeb tak silnie szablą, że ledwie zaskowyczał i na ziemię się powalił.

Zrekognoskowałem podwórze, które z téj strony domku było puste i podsunąłem się ostrożnie pod okna. Stanąłem pod jedną z okiennic i zaglądnąłem przez otwór do środka.

VI.

Na widok, który mnie tu uderzył, zadrżałem i prawie zachwiałem się na nogach.

Z trudnością powstrzymałem wykrzyk, który mi się wyrwał z piersi... (d. c. n.)


Fig. 1.


Fig. 2.


Fig. 3.


Fig. 4.

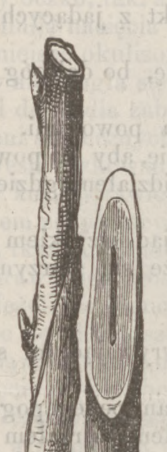

Fig. 5.


Fig. 6.


Fig. 7.


Fig. 8.


Fig. 9.


a. b.
Fig. 10.


Fig. 11.

Ryciny objaśniające artykuł, p. t. Uszlachetnianie drzew i krzewów. (Str. 92).

Wydawca, Mieczyński Adam. — Дозволено Цензурою. 8 (20) Марта 1871 г. — Redaktor, Stanisławski Oskar.

w Drukarni S. Orgelbranda, Ulica Bednarska Nr. 369 lit. b.